Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

Cena 25 gr.

# PŁOMIEŃCZYK

CZASOPISMO

*„Mamy zbudować nową Polskę i nowego w Polsce człowieka".* *ADAM SKWARCZYŃSKI*

ROK II — WARSZAWA, STYCZEŃ 1938 — NR 1(8)



# PRZEGRZANA PARA

## POLITYKA, WOJNA I SZCZUPAK W SZAFRANIE

Były podobno na świecie szczęśliwe czasy, kiedy polityka nie była rzeczą skomplikowaną i trudną. Do wysokiego zamku, będącego siedzibą udzielnego władcy, jechał nie śpiesząc się poseł w odpowiednio reprezentacyjnej karocy. Gdy stawał przed mostem zwodzonym, heroldowie obwieszczali dźwiękiem trąb jego przybycie, poczem wysłannik zostawał dopuszczony przed oblicze królewskie. Jeśli poselstwo było udane — król zapraszał posła na szczupaka w szafranie i udziec jeleni, jeśli nie — poseł wsiadał do swego koczobryku i gnał z powrotem. Król zaś jegomość rozsyłał, nie śpiesząc się, wici do swoich wasalów, rycerze wkładali kolczugi, zabezpieczali odpowiednio od pokus cnotę swoch połowic, poczem rozpoczynała się barwna i obfitująca w przygody wojenka. Po zburzeniu paru zameczków powaśnieni suwerenowie zawierali pokój, poczem po kilku latach zaczynało się wszystko *da capo*.

Były to, niewątpliwie, dobre i przyjemne czasy. Kwestie p o l i t y c z n e rozstrzygały się w szczupłym gronie przybocznej rady królewskiej, kwestie g o s p o d a r c z e załatwiał podskarbi z kilkoma ober-celnikami i naczelnym egzekutorem podatków, wybuch jakiejś kwestji s o c j a l n e j należał raczej do wyjątków.

Dzisiaj, niestety, to wszystko się zmieniło. P r o s t o t a metod rządzenia ustąpiła ich niebywałemu s k o m p l i k o w a n i u. Znikoma liczebność aktorów sceny dziejowej ustąpiła miejsca m a s o w o ś c i i p o w s z e c h n o ś c i zainteresowań politycznych. Ekonomia i Socjologia zbuntowały się przeciw Polityce i często gęsto ciągną ją gwałtem tam, gdzie by ona nigdy z własnej woli bez przymusu nie poszła.

Ze stanem tym, rzecz prosta, należy się pogodzić. Co było a nie jest — nie pisze się w rejestr. Trzeba się zgodzić, że „życie jest bardzo skomplikowane" i wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski. Takim wnioskiem jest m. in. to, że owe niezmierne s k o m p l i k o w a n i e form dzisiejszego życia wymaga ciągłego s y s t e m a t y z o w a n i a jego przejawów. Metoda ta stanowi podstawowy warunek u p r o s z c z e n i a obrazu rzeczywistości i wyodrębnienia z chaosu tendencyj i faktów kierowniczych wektorów procesów społecznych. Celem tej metody jest poza tym k l a s y f i k a c j a wydarzeń z punktu widzenia ich hierarchii, wagi i zależności funkcjonalnej, ażeby ustrzec się błędu wzięcia przyczyny za skutek, względnie jakiegoś lokalnego trzeciorzędnego objawu za rdzeń procesu dziejowego.

## CHLEB I SPRAWIEDLIWOŚĆ

Próbując usystematyzować zgrubsza zachodzące dziś w Polsce zjawiska, bez trudu możemy wyodrębnić kilka pierwszoplanowych tendencyj i faktów.

Pierwszym z nich jest, niewątpliwie, żywiołowe i powszechne p r a g n i e n i e z m i a n y. Tendencja ta w wielu przypadkach nie jest wyraźnie skrystalizowana i częstokroć sami niezadowoleni nie byliby w stanie sprecyzować ściśle swoich dezyderatów. Wydaje sę również pewne, że owo pragnienie zmian n i e l e ż y w p ł a s z c z y ź n i e c z y s t o p o l i t y c z n e j, to znaczy nie sprowadza się do postulatu zmiany rządu. Rząd dla większości obywateli jest czymś tak oddalonym i mglistym, że zagadnienie przesunięć na tym szczeblu interesuje nieliczną tylko warstwę czynnych polityków.

Natomiast całkiem niedwuznacznym jest żywiołowe pragnienie zmiany m e t o d, a t m o s f e r y i l u d z i, bezpośrednio kształtujących życie publiczne. Nie ulega wątpliwości, iż stosowane w ubiegłym okresie metody oddziaływania, posiadające, jak każda rzecz, dwie strony — pozostawiły w szeregu przypadków pewien ujemny osad. W społeczeństwie polskim odczuwa się dzisiaj ogromny g ł ó d s p r a w i e d l i w o ś c i. Gdyby przeprowadzono dziś ankietę na temat: czego chce obywatel i z czego jest niezadowolony — w 90% odpowiedź brzmiałaby, że chce on poprostu, ażeby w Polsce było sprawiedliwie.

Tego żywiołowego pragnienia sprawiedliwości nie wolno jest niedoceniać lub lekceważyć. Istnieje bowiem reguła, że tam, gdzie ma miejsce niedostatek materialny, — tam trzeba dać człowiekowi e k w i w a l e n t p s y c h i c z n y. Człowiek może wytrzymać,

gdy nie ma chleba, ale jest sprawiedliwość. Może wytrzymać, gdy nie ma sprawiedliwości, ale jest zato wbród chleba. Ale gdy nie ma ani jednego ani drugiego — sytuacja staje się b. niebezpieczną. A na to właściwie zanosi się w Polsce w niektórych dziedzinach.

### NOWYCH LUDZI I NOWYCH METOD!

Powszechnym zawołaniem dnia jest więc dziś w Polsce: „nowych ludzi i nowych metod". Stwierdzenie tego faktu może być przykre dla szeregu osób, poczuwających się do odpowiedzialności za wytworzony stan rzeczy. Ale zamykanie oczu na to byłoby niegodnym chowaniem głowy w piasek. Nie byłoby również celowym marnowanie czasu na sprzeczanie się, kto i w jakim stopniu zawinił lub zbłądził. Rzeczą najważniejszą bowiem jest zdanie sobie sprawy, co zostało zrobione, aby uczynić zadość temu powszechnemu pragnieniu, które jeszcze trochę, a może stać się — mitem...

Odpowiedź na pytanie: czy się co w Polsce naprawdę zmieniło? — byłaby dość kłopotliwa. Mogłaby ona brzmieć: — i tak i nie. Nie ulega wątpliwości, iż powiał jakiś inny, nowy i ożywczy wiatr. Niewątpliwie doszedł do głosu maltretowany dotąd tak często zdrowy rozsądek; niewątpliwie zlikwidowano szereg fikcyj, nazwano po imieniu szereg nonsensów, wytknięto słuszne w zasadzie drogi rozwoju. Wyczuwa się wyraźnie, że na samym szczycie hierarchii państwowej działa czyjaś twórcza i konstruktywna myśl, że istnieje Ktoś, na kim spoczywa ciężar olbrzymiej odpowiedzialności i kto właśnie dlatego rozumuje tak prostymi, logicznymi, żołnierskimi kategoriami. To jest ten jedyny punkt o niewzruszonej stałości, z którego wypływa wiara, otucha i nadzieja na przyszłość.

Ale z drugiej strony — co z tego wszystkiego ma ów prosty człowiek, spragniony sprawiedliwości i ludzkiego, uczciwego stosunku do siebie? Człowiek, stanowiący niewątpliwą większość społeczeństwa, a który — nota bene— najpóźnej za dwa lata pójdzie do urny wyborczej? Czy się co zmieniło realnie w praktyce machiny biurokratycznej? Czy się zmienił przede wszystkim stosunek tej machiny do człowieka, — to największe bodaj zło, trapiące nasze życie zbiorowe? Czy wynagrodzono ludziom krzywdy i otarto łzy, jeśli krzywdy te zostały w przeszłości popełnione? Czy ustąpili ze swych stanowisk ludzie, symbolizujący w oczach ogółu ujemne cechy przeżytego systemu? Odpowiedź na te pytania musi być, niestety, w znacznym stopniu — negatywna.

### OFIARY PAŚĆ MUSZĄ...

Wydaje się czasami, iż nad zagadnieniem niezbędnych zmian w Państwie ciąży jakieś złośliwe fatum. Wszyscy mówią o konieczności zmian zasadniczych — ale ich dotąd jakoś nie widać. Wszyscy chcą rzeczy nowych — a wszystko idzie po staremu. Szereg bardzo miarodajnych czynników zapewnia uroczyście o potrzebie „nowego kursu" w swoim resorcie — a podległa im maszyna szatkuje nadal ludzkie istnienia w bezmyślny i ślepy sposób. Dzień wczorajszy ma, jak się okazuje, żywot uporczywy i twardy. Brakuje jak gdyby odwagi cywilnej, ażeby śmiało i po męsku wyciągnąć konsekwencje z przesłanek, słuszności których nikt już nie kwestionuje. Szary człowiek ze swymi postulatami znajduje się dzisiaj jak gdyby w sytuacji tego żydka, który starał się o dzierżawę karczmy na gruntach klasztornych. Wszyscy kanonicy, których z osobna prosił o poparcie, byli dlań bardzo łaskawi i wszystko mu obiecali, ale jak się zebrała kapituła — to mu odmówili.

Wydaje się niesporne, iż trzeba wreszcie zdecydować się na śmiałe i męskie posunięcia w wielkim stylu. Skoro się raz obrało pewien kierunek — trzeba nim posuwać się konsekwentnie i prosto. I nie wolno jest odpychać od siebie wniosku, że realizacja Nowego Kursu będzie wymagała — ofiar. Jakieś bowiem ofiary paść muszą nieuchronnie. Ludzie, którzy byli wyrazicielami przekreślonych obecnie tendencyj — muszą być zluzowani przez innych. Należy zdecydować się świadomie na ofiarę z dziesiątków lub setek ludzi, aby móc uratować — tysiące. Bez tych namacalnych i widocznych powszechnie zmian masy nie uwierzą w szczerość dokonanego zwrotu. Gorzej — bo w umysłach ogółu mogłaby się zatrzeć świadomość zwekslowania na nowe tory wozu państwowego. Olbrzymie sumy odwagi i energii psychicznej, zużyte na przełamanie nawyków myślowych, frondy i oporu ludzi dnia wczorajszego, mogłyby pójść na marne. Coraz większy posłuch mogliby, niestety, zyskiwać ludzie, twierdzący, że nikt w Polsce nie myśli na serio o zmianie systemu, a chodzi tylko o przykrycie starych gratów nowym parawanem.

### ŻELAZNA MIOTŁA — SPRZYMIERZEŃCEM KONSOLIDACJI

Istnieje w Polsce w chwili obecnej pewna niezmiernie korzystna dla nas okoliczność. Oto — ludzie nie chcą zasadniczo żadnego przewrotu. Wszystkie postulaty społeczeństwa są najzupełniej realne i dadzą się zrealizować w drodze ewolucyjnej. Żądania sprawiedliwości i ludzkiego stosunku — to przecież są żądania minimalne, a nie maksymalne. Nie chodzi tu poza tym o zmianę zasadniczych tendencyj czynników kierowniczych, lecz o kwestię wykonania przez podległy aparat tendencyj już obowiązujących.

To, że postulat ten zahacza o zagadnienie zmian personalnych — nie utrudnia, lecz ułatwia wyjście z sytuacji. Interes państwa nie ucierpi bowiem ani na jotę na likwidacji pewnej liczby nadętych i tępych „wielkości". Ułatwiłoby to również w olbrzymiej mierze powodzenie innych akcyj społeczno-politycznych, do których czynniki decydujące przywiązują tak dużą wagę.

Żelazna miotła byłaby w chwili obecnej niewątpliwym sprzymierzeńcem nie dekompozycji, lecz konsolidacji.

### MANOMETR WSKAZUJE CIŚNIENIE

Istnieje poza tym w chwili obecnej jeszcze jedna, wyjątkowo korzystna dla nas okoliczność. W Polsce nie ma dzisiaj korzystnych warunków dla rewolucji. „Linia generalna" polityki rządowej nastawiona jest wyraźnie na uwzględnienie potrzeb wszystkich warstw społecznych. Rząd nie jest ani „żydowsko-masoński", ani „reakcyjny", co w wysokim stopniu utrudnia propagandę rewolucyjną. Ale mimo to, a może właśnie dlatego nie należy przeciągać struny. Nie należy dopuszczać, aby pod kotłem nagromadziło się zbyt duże ciśnienie pary. Zwłaszcza, gdy para ta i tak już jest przegrzana. Nie wolno jest lekceważyć wskazówek manometru i szydzić z zamkniętego w skomplikowanym systemie rur żywiołu. Jeśli Opatrzność jest dla nas łaskawa i jeśli wytworzyła się dla haseł przewrotu wybitnie zła koniunktura — to nie należy Pana Boga kusić za bardzo. Zbyteczna ufność w miłosierdzie Boskie jest podobno grzechem przeciwko Duchowi św. Istniejącą pomyślną koniunkturę trzeba wykorzystać w kierunku rozładowania nagromadzonego ciśnienia. Gdy w spoidłach rur zacznie syczeć złowieszczo para — może już być zapóźno.

### LIBERUM VETO — A INNE NARODY

W środowisku inteligencji polskiej istnieje dość rozpowszechnione mniemanie, że jesteśmy narodem bardzo trudnym do prowadzenia. Nasuwają się jednak poważne wątpliwości, czy tego rodzaju pogląd nie jest legendą? Istnieje sporo podstaw do przypuszczenia, że narodem polskim rządzić w gruncie rzeczy jest bardzo łatwo, i że trzeba tylko umieć do niego podejść. Kto wie, czy nie jest grubo przesadzona legenda o naszym warcholstwie i naszym indywidualizmie? Dzieje *liberum veto* w Polsce mogą być rozmaicie komentowane. Można bowiem dziwić się nie temu, że dawna Rzeczpospolita upadła dzięki owemu szczegółowi ustrojowemu, lecz że pomimo *liberum veto* istniała jednak tak długo. Kto może zaręczyć, że podobna instytucja nie spowodowałaby znacznie wcześniejszego upadku każdego innego narodu?

Jeżeli w ciągu trzech blisko stuleci obowiązywania zasady jednomyślności Rzeczpospolita mimo to trzymała się i była wielkim mocarstwem, to czy nie jest to dowodem, że w charakterze Polaków — obok niewątpliwych tendencyj anarchicznych — nie drzemią również potężne instynkty dośrodkowe? Że w duszy Narodu istnieją pewne tajemnicze struny, które trzeba tylko umiejętnie poruszyć, aby zadźwięczały nieznanym gdzieindziej akordem poświęcenia i miłości Ojczyzny? Kto może zaprzeczyć, że właśnie Polak, gdy tylko widzi szczere podejście do niego i gdy zagrożona jest miła Ojczyzna — skłonny jest puścić w niepamięć urazy, wybaczyć winy i dać dowody poświęcenia, do jakiego nie byłyby zdolne bogate i zmaterializowane narody?

Kto wie, czy tajemnica rządzenia Polakami nie jest w gruncie rzeczy — zdumiewająco prosta?...

*Witold Ipohorski-Lenkiewicz.*

# HUMANIŚCI I GROSZOROBY

Rok 1918 postawił przed Polską wśród innych zagadnień i zagadnienie *nowego człowieka,* czyli sprawę moralnego i praktycznego przetworzenia człowieka niewoli w obywatela państwa i czynnego członka Narodu w nowej sytuacji dziejowej. Ten *homo novus* musiał pojawić się w wielkiej ilości w społeczeństwie, jeśli miało ono być zdolne do nadzwyczajnego wysiłku w spiesznej odbudowie państwa. Reprezentantów tego nowego typu szukać należało — naturalną koleją rzeczy — w kadrach niepodległościowców i bojowników o wolność. Równocześnie jednak pierwsze kilkunastolecie odrodzenia wykazało ogromną rozbieżność, jeśli nie zupełną przepaść między wzorami, w jakie obfitował bohaterski okres zbrojnych wysiłków, a człowiekiem pospolitego autoramentu, liczącym się w nowej Polsce na miliony.

Nie ulega wątpliwości, że *mit nowego człowieka,* który zrodził się w walkach o niepodległość, a miał uformować się ostatecznie w następstwie „rewolucji moralnej" 1926 r. *nie zmaterializował* się w społeczeństwie w ilości ludzi, wystarczającej dla podjęcia jakiegoś zasadniczego, historycznego czynu zbiorowego. Nie zdołał poruszyć mas robotniczo - chłopskich i mieszczańskich i pchnąć je w kierunku bezinteresownej „żołnierskiej" pracy dla państwa. Mit ten zdobywał dla siebie *jednostki,* odrywał je psychicznie od środowiska, czynił z nich elitę moralną, która mogła promieniować na dane środowisko, ale która nie była w stanie spowodować jakiegoś masowego, *realnego postępu* w rzeczywistości polskiej. Sporadycznie „wydobywanie wysiłku ponad własną miarę", „wyrastanie ponad siebie samego" i t. p. nie mogło mieć wybitnego wpływu na środowisko masowe, które stać na wysiłek przeciętny, podyktowany przez bezpośrednią potrzebę życiową. Duch moralny przełomu majowego, tak, jak go rozumiał Adam Skwarczyński, był w stanie stworzyć co najwyżej pokaźną *elitę pracy,* która mogła pokusić się dać *sama* radę zadaniom, stojącym przed *wszystkimi.* Że niezupełnie tak się stało — przyczyn tego należy szukać w samym łonie ruchu, co w danej chwili nie należy do naszych rozważań.

Odpowiedź na pytanie — dla czego duch moralny przełomu nie wstąpił w masy? — nie jest specjalnie trudna. Duch ten nie wstąpił w masy — bo wstąpić nie mógł. Masy były i będą zawsze siłą *fizyczną* każdej rewolucji „prawdziwej". Siłę tę zapewnić sobie można tylko przez skrajną demagogię i wskazanie bezpośrednie objektów, które należy zniszczyć. Hasło „rewolucji moralnej" *nie szukało tej siły* i dla realizacji swej mogło obrać tylko drogę najtrudniejszą — przez słowa i nauki — do serc swoich wyznawców. Ta „religijna" droga nie dopuszcza ani tempa, ani metod rewolucji, jak wskazują na to dzieje ruchów religijno - moralnych bez zabarwienia politycznego. Jest to sprawa *ewolucji wewnętrznej* człowieka, wymagająca długich dziesiątków lat, jest to sprawa wychowania społecznego, od której nie można żądać rezultatów już w rok czy pięć po rzuceniu hasła. Rezultaty w tym tempie daje natomiast często, jak wskazują na to liczne przykłady, *wojna* lub *rewolucja prawdziwa.* Nowy typ człowieka, pojawiający się w skali masowej, był zwykle *wynikiem* jakiegoś masowego wstrząsu wojennego czy rewolucyjnego, nigdy natomiast *nie był jego przyczyną.* Dla tego też okres walki o wolność dał doraźnie więcej „nowych ludzi", niż przełom majowy. I oni to właśnie stanowili główną siłę, która przełom zrealizowała.

* * *

Sprawa „nowego człowieka" jest dziś w Polsce bardziej aktualna, niż w 1918 i 1926 r. Trzeba zdać sobie sprawę, że zbliża się ku końcowi epoka, w której dominował typ człowieka, stworzonego przez tajne organizacje patriotyczne i burzliwe wypadki wojenne. Ale chociaż epoka ta już się kończy — wciąż jeszcze *brak nam wzoru dla nowego typu człowieka.* Zagadnienie to dotąd jest tak różnorodną mieszaniną pojęć, kierunków i wzorów, że o jakąś przeciętną receptę społeczną dla typu obywatela jest niesłychanie trudno. To nadmierne pmieszanie pojęć, a co zatem idzie — *zindywidualizowanie postawy życiowej* ludzi w Polsce jest objawem dekompozycji znacznie gorszym, niż w jakiejkolwiek innej dziedzinie.

Wśród wielu przyczyn tego stanu rzeczy należy wskazać na dwie najistotniejsze. Pierwszą z nich jest polska *nędza materialna,* która znacznej większości ludzi przeszkadza w wykrystalizowaniu się w jakiś określony typ społeczny. Drugą przyczyną jest *stan oświaty* w Polsce, która albo przysparzała społeczeństwu nadmiar niedokształconych jednostek, albo też wogóle do nich dotrzeć nie mogła.

Rzecz charakterystyczna, iż w przysłowiowym lesie polskich indywidualności dadzą się zaobserwować jakgdyby *dwie postawy życiowe,* dwa bardzo mgliście zarysowujące się rodzaje typów ludzkich, ściśle zresztą związane z naszym stanem gospodarczym i oświatowym. Jeden z nich nazwać by można *„humanistycznym",* drugi — *materialistycznym.* Gdyby wyobrazić sobie jakąś „psychologiczną" mapę Polski z tradycyjnym już podziałem na Polskę A i B, to największe zagęszczenie typu materialistycznego wypadłoby na Polskę A, największe zaś skupienia „humanistycznego" — na Polskę B. Jest to zresztą stwierdzenie wielce dowolne, oparte jedynie na natręctwie stale sprawdzających się obserwacyj. Bo nie ulega przecież wątpliwości, że nasz chłop, np. z pod Żnina ma typową postawę zdrowego groszoroba, podczas gdy chłop z nad Naroczy czy z pod Nowogródka zakrawa częściej na filozofa o typie moralno - religijnym. To samo powtarza się w tamtejszych środowiskach „wyższych", które wywodzą się ze wsi. Lepsze zagospodarowanie Polski Zachodniej pozostaje w oczywistym stosunku przyczynowym do tej materialistycznej postawy ludzi polskiego Zachodu. Nie jest również bez znaczenia, że biedna, pierwotna połać „B" ma swój największy, decydujący wkład do kultury duchowej Polski, której dostarczyła najbardziej poczesnej liczby znakomitych Polaków.

Wśród współczesnej inteligencji polskiej zauważyć można natomiast objawy nieco odmienne. Układ typów jest tu bardzo jednostronny. Namnożyło się u nas mianowicie co niemiara tych „humanistów", zdatnych do oderwanej spekulacji filozoficzno - etycznej, na bardzo zresztą niewysokim poziomie. Istnieje również pewien procent ludzi o wysoko rozwiniętej samowiedzy i samokontroli moralnej, lecz o tym typie intelektualnym, który każe patrzeć na świat z dużym zrozumieniem rzeczywistości i z krytycyzmem, lecz jednocześnie z typową i absolutną *indolencją,* jeśli chodzi o energię i impet realizacyjny. Tego rodzaju ludzi, którzy umieją myśleć, ale *nie umieją pracować* i całe życie spędzają na marnych jałowych posadkach, jest dziś wśród naszej inteligencji *o wiele za dużo.* Ten właśnie typ ludzi przypomina najbardziej „l'improductive slave" — staroświeckiego bohatera „Bez Dogmatu". Typ ten wywodzi się w prostej linii ze spuścizny XIX wieku, z „pochodu myśli", jaki przeszedł podówczas przez Europę, pozostawiając po sobie uporczywy osad w postaci różnych „izmów" światopoglądowych, jałowej tęsknoty do doskonałego człowieka w doskonałym świecie, wiary w prymat mózgu i niewątpliwe doktrynerstwo w sprawach politycznych.

Nie ulega wątpliwości, że te narzucające się obserwacji typy ludzi w Polsce nie występują ani w wyłącznej, ani w czystej postaci i że istnieje jeszcze zarówno ogromna mieszanina innych typów, jak i potężna warstwa ludzi bez żadnego oblicza społecznego. Jedno jest natomiast pewne, że nasza sytuacja dziejowa wymaga dziś od nas zdecydowanie takiego typu człowieka, który by dzień w dzień przy każdym warsztacie pracy *dźwigał by siebie,* swe otoczenie, najmniejszą choćby cząstką swojego kraju na wyższy *realnie* poziom. Człowiek taki musi mieć świadomości, że dzięki takiej właśnie pracy pracuje najbardziej skutecznie *dla polskiej potęgi.* Pokolenie zdobywców niepodległości może być bowiem zluzowane jedynie przez pokolenie „zdobywców potęgi". Tęsknota do niepodległości pokolenia mijającego została przeszczepiona z piersi do piersi, do coraz większej ilości serc — jako *wola potęgi.* Jest to naturalna kolej dążeń Narodu, który nie może poprzestać na realizacji swojego programu - minimum. „Własny rząd" i „własne wojsko" — te osiągnięcia i hasła mogą jeszcze rozpierać dumą piersi wetera-

nów 1863 r. Dla nas „własny" może jedynie oznaczać — *wielki, potężny*....

Ten wniosek logiczny, wysnuty z naszego położenia geograficznego, zmusza na gwałt nietylko do uzbrojenia każdego obywatela, ale do urobienia zeń typu gospodarczego i światopoglądowego pod każdym względem *przystosowanego do rzeczywistości*. Jaki ma być ten typ — to nie nastręcza już dziś większych wątpliwości. Nie stać nas bowiem ani na luksus grzebania się w „psychologii różnic indywidualnych", ani na ryzyko wyłącznej „stawki na cnotę obywatelską". Nie stać nas ani na zbytni idealizm w szukaniu wzorów, ani na zbytnią wiarę w szybkie „uspołecznienie się" człowieka w Polsce. Na uspołecznienie to, jako na uniwersalne remedium czekać już długo nie jesteśmy w stanie. Człowiek musi wziąć się w Polsce do pracy taki, jaki jest. Musi tylko wiedzieć, co mu wolno a co nie, co trzeba robić, a na co szkoda czasu i atłasu...

Zamiast biedzić się nad „humanizmami", nad psychologią i etyką abstrakcyjnego obywatela, trzeba wziąć kurs — *na realia*.

*BOLESŁAW WASYLEWSKI*

# REFLEKSJE I UWAGI.

## ALGEBRA POLITYCZNA, CZYLI BIAŁY LEW MA ZAJĘTE ŁAPY.

Polacy są, jak wiadomo, narodem sentymentalnym. Kogo jak kogo, ale nas właśnie bardzo łatwo jest wziąć na uczucie i na sentyment, co w praktyce b. często równa się wzięciu... na plewy. Czy winą tu jest nasz charakter, czy nasza „młodość cywilizacyjna", — dość, że do ostrożności starego wróbla jest nam jeszcze b. daleko. I dla tego należy szczególnie się cieszyć, gdy robimy w tej dziedzinie pewne postępy.

Refleksje tego rodzaju przychodzą do głowy, gdy się rozważa aktualny problem **stosunków polsko-czeskich.** Pozornie rzecz biorąc — sprawa jest prosta: i Polska i Czechosłowacja posiadają **wspólnego wroga** — Niemcy. Żadne bowiem pakty i układy nie przesłonią w opinii polskiej świadomości skąd grozi nam niebezpieczeństwo i z której strony gotowe są wyciągnąć się po polski dobytek drapieżne i zaborcze ręce. Z faktu tego wypływa więc, zdawało by się, ten jeden logiczny wniosek, że oba zagrożone państwa winny dać spokój wzajemnym sporom i kłótniom i utworzyć zwarty front przeciwko wspólnemu wrogowi. Kochani pobratymcy gnębili, co prawda, paskudnie polską ludność na Śląsku, ale ostatnio poszli na pewne ustępstwa, nic więc nie stoi na przeszkodzie, ażeby dać sobie wreszcie pyska z dubeltówki i krzyknąć „kochajmy się!" Jeśli się pogodzimy poza tym, jak grzeczne dzieci, z Czechami, ucieszy się z tego szczerze poczciwa ciocia Marianna z Paryża i w nagrodę da nam pozłacany piernik lub czekoladkę w srebrnym papierku....

Rozumowanie powyższe pociąga niewątpliwie urokiem swojej prostoty. Jeżeli bowiem osobnicy X i Y posiadają wspólnego wroga N i wspólnego druha F, to po jakiego licha mają sobie wzajemnie kudły wydzierać i do oczu skakać? A jeśli dzieje się przeciwnie, są czy nie mają oni jakiegoś feleru w układzie klepek swojej mózgownicy? I czy przypadkiem tych klepek nie jest tylko cztery, a piąta nie zawieruszyła się gdzieś w okolicy Cieszyna czy Morawskiej Ostrawy?...

A jednak, mimo wszystko, sprawa nie jest tak prosta. Algebra polityczna posiada swoje specjalne reguły i kanony. Rozwiązanie polsko - czeskiego równania nasuwa przy bliższej analizie całkiem szczególne trudności. A nasuwa przede wszystkim dlatego, że oprócz polskiego X i czeskiego Y, których polityka jest rzekomo taką **niewiadomą,** wchodzi do równania trzecia jeszcze wielkość, a mianowicie — pewne szczególne Z. I to nietylko samo Z, lecz całkiem niedwuznacznie — Z...SSR. Ta właśnie okoliczność sprawia, że „les amis de nos amis", bynajmniej nie są naszymi przyjaciółmi, a wrogowie naszych wrogów też się do druhów nie zaliczają.

Trzeba postawić sprawę wyraźnie. Polska racja stanu chcąc nie chcąc musi zaliczać Czechosłowację **do swych przeciwników.** Musi zaś czynić to nie dlatego, żeby to było specjalnie dla nas korzystne, lecz poprostu dlatego, że **tego chce sama Republika Białego Lwa.** Jest to więc stosunek wybitnie **narzucony.** Jeśli bowiem naprzeciwko mnie stoi osobnik, który szczerzy zęby i mówi: „Ja sem twój brat", a gdy tylko się odwrócę — natychmiast stara się mnie żgnąć czymś ostrym, to nikt nie może się dziwić, jeśli wszystkie jego braterskie zaklęcia będę miał akurat tam, gdzie on stara mi się wsadzać szpilki przy każdej okazji.

Już bowiem od zarania naszej niepodległości, gdy na krwawych pobojowskach ważyło się nasze „być albo nie być", kochani pobratymcy życzyli niedwuznacznie, ażeby nas wszyscy diabli wzięli... Diabli nas, dzięki Bogu, nie wzięli, ale pobożne życzenia (a nawet — scyzoryk w plecy!) co były, to były...

Od tego czasu można ustalić nieomylną regułę, że niema takiej dziedziny, w której kochani sąsiedzi nie staraliby się „podłożyć nam świnię". Wystarczy tylko zadać sobie pytania: kto udziela poparcia ośrodkom irredenty, godzącym w całość naszego państwa? Kto stara się pomniejszyć naszą wagę i naszą rolę, jaką odgrywamy w świecie? Kto prowadzi przeciwko nam propagandę w zaprzyjaźnionych krajach bałtyckich? Kto kopie pod nami dołki w Genewie? Z kim oprócz Sowietów, jest w najczulszej przyjaźni Litwa?

Odpowiedź na to jest niestety jedna: Czechosłowacja, z Czechosłowacją. To, że cała ta antypolska kampania odbywa się przy wtórze pansłowiańskiej, ligowej czy innej deklamacji, nie zmienia w niczym istoty rzeczy. Jest to jakby ów ewangeliczny pocałunek, kiedy usta szepcą „Ave, Rabbi", a z tyłu stoją uzbrojeni drabi...

* * *

Rozwiązanie zagadki polityki czeskiej nie jest trudne. Brzmi ona — **Rosja.** „Zawsze z Rosją, z każdą Rosją" — takie było zawsze hasło polityki czeskiej. Do tego sprowadza się w gruncie rzeczy cała idea pansłowiańska. Co najważniejsze zaś — idea ta nie była nigdy celem sama w sobie, lecz wyłącznie środkiem do osiągnięcia wielkości Czech. Mały naród czeski zapragnął wyrównać swą małą liczebność walorami swego położenia geograficznego i kierunkiem swojej polityki zewnętrznej. Demon wielkości i pychy, ocieniający czarnymi skrzydłami politykę narodów, musnął swoim jadowitym oddechem również i Czechy. Wielkość Czech miała być zrealizowana — przez Rosję. W koncepcjach polityków czeskich Rosja miała być olbrzymim niedźwiedziem, którego miał prowadzić na łańcuszku sprytny mały Pepi... Stolicą Słowiańszczyzny miała stać się Praha...

Ambitne zamiary polityków praskich nie zostały zrealizowane. Jedną z przyczyn tego była — Polska. Przez sam fakt odzyskania swojego dziedzictwa historycznego, Polska przekreśliła najtajniejsze marzenie Czechów — posiadania **wspólnej granicy z Rosją.** Stąd więc owa tajona nienawiść i niechęć, stąd popieranie irredenty, stąd wreszcie owa **entente cordiale** pomiędzy burżuazyjną republiką czeską a Związkiem Socjalistycznych Republik Rad.

Ceskoslovenska Republika stała się dziś niewątpliwą **ekspozyturą Rosji Sowieckiej.** To jest fakt niesporny. Sowieccy generałowie (z kategorii tych co żyją jeszcze) czują się w Pradze czy w Bratisławie jak u siebie w domu, a nawet jeszcze bezpieczniej. Tony Międzynarodówki rozbrzmiewają dziś nad Wełtawą narówni z dźwiękami „Kde domow mój". I dlatego tak nikłe są szanse porozumienia z Polską. Biały Lew **nie może dziś wyciągnąć łapy do zgody z Polską,** gdyż obie przednie kończyny ma poprostu **zajęte...** W jednej bowiem łapie trzyma on **sierp, a w drugiej młotek...**

Jeśli więc ma nastąpić szczere porozumienie obu słowiańskich republik — inicjatywa ku temu musi wyjść nie od nas. Biały Lew musi **odłożyć na stronę** trzymane pieczołowicie symbole, a jeszcze lepiej — kopnąć je zadnią nogą...

Możemy zapewnić również naszych pobratymców, że nie stracą oni nic w oczach świata, jeśli wyrzekną się swoich pansłowiańskich ambicyj i jeśli poszukują sobie innej, **własnej drogi do wielkości.** Talenty i cnoty narodu czeskiego są dostatecznie wielkie, ażeby **same przez się** budziły szacunek w świecie. Korona św. Wacława posiada dość **własnych** diamentów, ażeby sama przez się świecić silnym i jasnym blaskiem, a nie odbiciem krwawo-czerwonym rubinów dalekiego Kremla...

## JUBILEUSZ SZOPKI

W styczniu r. b. mija 20 rocznica wystawienia Szopki Beniaminowskiej. Dwadzieścia lat temu, w mroźny wieczór zimowy, gdy śnieg tłumił odgłosy stąpania niemieckiej warty, w kasynie obozu oficerskiego w Beniaminowie, rozlegał się gwar i śpiew, a przed rampą malutkiej scenki przesuwały się zabawne figurki. Była tam i Rada Regencyjna jako Trzej Królowie, był i Jędrzej Moraczewski w roli tradycyjnej Śmierci, a to dla tego — że „w swej Galilei był radcą od mostów i C. K. Kolei".

Okoliczności napisania i wystawienia Szopki Beniaminowskiej są tak szczególne, że warto jest poświęcić temu jubileuszowi chwilę uwagi. Już sam przez się każdy przejaw sztuki za drutami kolczastymi jest zjawiskiem ciekawym i niecodziennym. Cóż dopiero, gdy do poezji i sztuki plastycznej dołącza się—polityka! I gdy autorem tekstu jest ni mniej ni więcej, tylko — p. por. Wacław Kostek-Biernacki..

W Szopce Beniaminowskiej, jak w ognisku wklęsłego zwierciadła, odbija się cała ówczesna sytuacja Polski. Jest to niewątpliwie dokument historyczny pierwszorzędnej wagi. Wszystkie namiętności, umiłowania i nienawiści, jakimi żyła zamknięta za drutami Beniaminowa kadra legionowa, znalazły tu swój doskonały wyraz. Ileż późniejszych wydarzeń staje się bardziej zrozumiałymi, gdy się czyta te pisane z pasją, lecz jednocześnie z dużym umiarem artystycznym strofy. Strofy, gdzie w rzadko spotykany sposób została połączona chwytająca za serce liryka z gryzącym szyderstwem i krwawym sarkazmem...

Pierwsze uczucie, jakie ogarnia dzisiejszego czytelnika Szopki — to podziw... **Niezłomni z Beniaminowa"** — oto określenie, jakie się ciśnie na usta. Dzieje Beniaminowa są bowiem niewątpliwym przykładem **rehabilitacji historii Polski.** Naród, który miał w swojej przeszłości tyle przykładów miłości, załamań i prywaty, musiał odkupić swe winy dowodami niezłomności, poświęcenia i hartu ducha. I dla tego słusznie jeden z personaży Szopki, ów sławetny Boruta z Łęczycy, mówi do Anioła:

„Lecz — jam szlachcic. Ja tutaj błotem się nie zmażę.
Tu, **jak psy wierne,** leżą wszyscy na sztandarze."

Ze strof Szopki bije pozatem — Wiara. Nieugięta wiara w końcowy triumf sprawy polskiej. W momencie największego załamania się podjętego dzieła, gdy Wódz siedział zamknięty w fortecy pruskiej, a jego rozbrojonych żołnierzy pilnowały obce warty — z za drutów Beniaminowa rozlegało się uparte „wierzę"!... Stojący przy Żłobku husarz ze złocistymi skrzydłami tak oto przemawia do obdartego i tropionego jak zwierz żołnierzyka legionowego:

„Może żyć będziesz długo? W życia czas wieczorny
Ujrzysz sny swe spełniony, żołnierzu z Szczypiorny!
Usłyszysz, jak zadzwoni z wieży Zygmunt stary,
I na rynku Krakowskim pułkowe fanfary
Zagrają... i zaszemrzą rzesz tysiącznych głosy
Na rocznicę sierpniową, żołnierzyku bosy!
I zagrają organy w Mariackim Kościele,
Wyjdą jasne procesje z monstrancją na czele,

Opasaną w dziękczynnym stu kadzielnic dymie..
I oto — Komendanta rozlegnie się imię!.. —
Ścichną pieśni lud zadrży, wzburzy się jak lawa
I buchnie wielki okrzyk: „Sława! Sława! Sława!"

Nad słowami tymi warto ztastanowić się i dzisiaj. Nieugięta, choć pozornie nielogiczna i irracjonalna Wiara zwyciężyła oparte na rozumowych przesłankach, logiczne i zimne koncepcje. Kto wie, czy z tej poglądowej lekcji historii nie wypływa nauka i na dzień dzisiejszy?..

## POEZJA I ADMINISTRACJA, CZYLI KLUCZ DO TAKTYKI PANA WOJEWODY.

W Szapce Beniaminowskiej istnieje pewien mały szczególik, uchodzący uwagi na pierwszy rzut oka, a który w chwili obecnej nabiera pewnej szczególne wymowy. Oto jeden z personaży Szopki „Krzakczyński", w monologu z por. „Rich von Ulem" używa zwrotu „Wy, reakcjoniści!" W komentarzu do tekstu czytamy, że zwrot ten był skierowany do ówczesnego porucznika 5 p. p., a obecnego pułkownika Ulrycha, który w owym czasie **„bardzo szedł na prawo".** Fakt ten wydawał się wówczas tak niezwykły, że aż doczekał się specjalnego podkreślenia w szopce. I tu właśnie zaczyna się moment sensacji.

Jeśli chodzi o płk. Ulrycha, wiadomą jest rzeczą, że był on zawsze konsekwentnym **nacjonalistą**. Był nim jawnie i otwarcie wówczas, gdy nie było to ani modne, ani popularne. Natomiast nic a nic nie wiadomo, ażeby podobnie miały się sprawy z por. W. Biernackim. Nacjonalizm Wojewody Kostka-Biernackiego objawił się w sposób niewątpliwy dopiero wówczas, gdy stanął on przy warsztacie konkretnej pracy państwowej. Samo życie i sama logika rzeczy, czyli owa słynna „realité des choses" marsz. Piłsudskiego, pokierowały ewolucją ideową obecnego Wojewody Poleskiego. Na Polesiu za jego rządów zostały definitywnie zlikwidowane niefortunne pseudo - „państwowe" eksperymenty, poczęte w mózgach mętnych doktrynerów warszawskich. Zostało zlikwidowane przede wszystkim gwałtowne, sztuczne fabrykowanie Białorusinów. Bywało przecież, że nieszczęśni chłopi upierali się i błagali, ażeby ich dzieciom wolno było **uczyć się w szkole po polsku**, bo na co im się przyda ich prymitywny dialekt — ale spotykała ich **odmowa**. Bywało i tak, że chłopi - katolicy rzucali poprostu drukowane po białorusku książki do nabożeństwa, mówiąc, że „w takim języku, panoczku, to do konia można mówić, ale nie do Pana Boga". Ale to wszystko było daremne, gdyż „panowie w stolicy palili cygara" i zadecydowali, że ma być inaczej.

Dzisiaj, na szczęście, ten horendalny stan rzeczy należy już do przeszłości. Zdrowy rozsądek i elementarny instynkt obywatelski doszły nareszcie na Polesiu do głosu. Piszący te słowa mógł stwierdzić osobiście podczas wizytacji jednego z obozów letnich, że dzieci miejscowych poleszuków mówiły czystą polszczyzną i prosiły uczestników obozu o polskie książki. Mało tego — p. Wojewoda przetłumaczył osobiście katechizm prawosławny na język polski. Nie darmo więc jeden z nacjonalistycznych tygodników warszawskich wysuwa uporczywie kandydaturę woj. Kostka - Biernackiego na stanowisko gospodarza jednego z sąsiednich województw kresowych...

Pan Wojewoda, jak wiadomo, posiada swoje specjalne metody rządzenia. Po całym kraju krążą opowiadania o przebieraniu się najwyższej wojewódzkiej władzy w strój chłopski, o zatrzymywaniu podejrzanego włóczęgi przez posterunki policyjne, o tym, jak to sprytny starosta z Dawidgródka rozpoznał swoje naczalstwo... po skórzanych łapciach, jakich nie nosi nigdy żaden autentyczny poleszuk. Wyniki tych metod są podobno wcale niezłe...

Rzecz prosta, trudno byłoby zalecać wszystkim wojewodom zamianę wytwornych angielskich garniturów na onucze, łapcie i kożuch barani. Nie każdy potrafi być Harun-al-Raszydem. Ażeby taka maskarada mogła się udać, kto wie czy nie trzeba być — autorem Szopki Beniaminowskiej... Ale kto zaręczy również, że tym właśnie nie różni się prawdziwy administrator od zasuszonych mumij biurokratycznych, względnie od innych radomskich czy kieleckich konsyliarzy, którzy „nie muszą pisać w gazetach"?

Kto wie, czy takim prawdziwym administratorem z Bożej łaski potrafi być osobnik, który tylko to dokonał w życiu, że podpisał sto tysięcy „dotyczących" kawałków?... Kto wie, czy nie musiałby on posiadać w swojej kamerze takich, na prz., strof jak te, które zostały umieszczone na wstępie do Szopki Beniaminowskiej:

„ W kwaterze mojej mrok i chłód,
Bezsenna ciąży głowa,
Tęsknoty sieć nademną splótł
Zły pająk — noc zimowa"...

## TRĄBY JERYCHOŃSKIE STRACIŁY REZONANS.

W Polsce dzieją się ostatnio rzeczy niezwykłe i nowe. Ulicami Warszawy przeciąga, naprzykład, pochód akademików, propagujących kupno ryb w studenckiej centrali, a nie u Żydów — a motopompa policyjna spoczywa spokojnie w remizie... W hallach rozmaitych urzędów wiszą ogłoszenia studentów SGH z hasłem „Walczymy z Żydami nie pałką, lecz czynem gospodarczym" — i nikt tych ogłoszeń nie zrywa... Przez radio przemawia prezes Naczelnej Rady Zrzeszeń Kupiectwa Polskiego w sprawie unarodowienia handlu — i nikt mu nie wyłącza mikrofonu i nie przeprasza P.T. Słuchaczów, że zaszło nieporozumienie...

Zdawało by się, że jest to rzecz tak naturalna, że niema czemu się dziwić. Cóż może być dziwnego w tem, że nieszczęsny chłopsko-szlachecki naród, który tak gorzko zapłacił za swoje winy i grzechy w przeszłości, stara się wyprostować wreszcie skrzywiony kręgosłup i odbudować swój własny stan średni? Czy można się dziwić, że Naród ten poszedł nareszcie do głowy po rozum i stara się otrząsnąć ze **zgubnych urzędniczo-szlacheckich nawyków**, w myśl których hańbą jest parać się handlem, a rzeczą chwalebną jest siać hreczkę lub inkasować pensyjkę na pierwszego?..

A jednak, niestety, — „drzewiej bywało inaczej". Bywało, że za wypowiedzenie tych elementarnych prawd spotykało się z zabójczym zarzutem „endeckości". Bywało, że każda próba podziału obywateli na Polaków i — powiedzmy „rasowo obcych", poczytywana była za odstępstwo od kanonów t. zw. „ideologii państwowej". Wszyscy wiedzieli, że co innego jest chałaciarz, dla którego polskość jest czymś obcym i wrogim, a co innego, powiedzmy, bojownik niepodległości, lecz nazwać tę rzecz po imieniu — było to shoking, wstyd, nieprawomyślnie i niepaństwowotwórczo..

Gdy się rozważa obiektywnie, dlaczego to pewnej części Polaków takie zaćmienie na mózg padło, a dlaczego dzisiaj zaczyna trochę światła świtać — odpowiedź wydaje się prosta. Oto całkiem zwyczajnie zaczynamy wyzwalać się zwolna z pod sugestii żydowskiego wrzasku i ż y d o w s k i e j p r o p a g a n d y. Jeszcze, niestety, nie wszyscy, ale już niewątpliwa większość. Żydowskie trąby jerychońskie, które ryczały, aż uszy puchły, trąbią i dzisiaj, ale już znacznie ciszej i w tonie raczej minorowym. Co najważniejsze zaś — rezonans tych trąb jest dziś już z n a c z n i e m n i e j s z y.

Żydzi, jak wiadomo, nie od dziś są mistrzami propagandy. Rozproszeni od wieków po świecie, rzuceni w obce środowisko, zmuszeni byli w imię zachowania swej rasy do wypracowania pewnych metod oddziaływania na środowisko aryjskie, czyli — metod propagandy. To, o czym dzisiaj tak sugestywnie piszą Garnett, Lumley, Goebbels, Pozet, Eliasberg i inni teoretycy propagandy, stanowiło w gruncie rzeczy od wieków znaną i zazdrośnie strzeżoną tajemnicę Izraela, opancerzoną murem kabalistycznych formułek i dostępną tylko dla wtajemniczonych.

Rzecz prosta — odradzanie aryjczykom czynienia pewnych rzeczy dlatego tylko, że są one s z k o d l i w e d l a Ż y d ó w — nie byłoby ż a d n ą p r o p a g a n d ą. Znacznie bardziej celowe, jest naprz., wmawianie w nich, że walka z supremacją żydowską jest niehumanitarna, n i e d e m o k r a t y c z n a, barbarzyńska, że jest to wyraz reakcji, ciemnoty i zacofaństwa, że być antysemitą — to znaczy s p r z e c i w i a ć s i ę k u l t u r z e i p o s t ę p o w i. A już szczytem mistrzowstwa jest wmawianie w aryjczyków, że zwalczając żydów — szkodzą swoim w ł a s n y m i n t e r e s o m.

Dzisiaj, na szczęście, efekt tej propagandy jest już znacznie słabszy. Prąd zrozumienia kwestii żydowskiej szerzy się w społeczeństwie coraz bardziej. Coraz to nowe jednostki i warstwy zrzucają bielmo z oczu. Pozostają jeszcze wypróbowani sojusznicy w walce o „Front Ludowy". Ale i tam wkrada się „bakcyl antysemityzmu". Stawka na głupotę chłopa i robotnika też kiedyś musi być bita. Ten upragniony sojusznik w walce o „demokrację", „postęp" i t. p. zaczyna już całkiem nieźle rozumieć, że oto on — gospodarz tej ziemi — chodzi w łachmanach i jest pariasem, podczas gdy biedny „wygnany naród" opanował handel aż miło, skupuje kamienice aż miło i tylko czasami w porywie szczerości stwierdzi, że „Polacy tylko na Wielkanoc to jedzą, co Żydzi mają na codzień".

Niedalekim jest czas, gdy całe społeczeństwo zrozumie, że niepodległość polityczna Narodu winna być uzupełniona przez jego n i e p o d l e g ł o ś ć g o s p o d a r c z ą.

## DOKTÓR PUMPERNIKEL SZUKA RUDY ŻELAZNEJ.

W jednym z ostatnich numerów **„Myśli Polskiej"** ukazał się artykuł p.t. „Polska żelazna", rekapitulujący dzieje odkrycia rud w Okręgu Centralnym. W artykule tym czytamy m. in.:

„Sposób odkrycia pokładów rudy w Małopolsce południowej był — dzisiaj można to powiedzieć szczerze, otwarcie — **śmieszny i naiwny.** I w tym może przede wszystkim tkwi atrakcyjność całej tej sensacyjnej zdobyczy gospodarczej".

Pozwolimy sobie mniemać, że nie sposób odkrycia rudy był śmieszny, lecz śmieszną jest sytuacja rozmaitych wysokich instancyj geologicznych, na utrzymanie których państwo łoży pokaźne pieniądze. W świetle dokonanych odkryć Wysoka Geologia wygląda akurat tak samo, jak ów słynny entomolog, dr. Pumpernikel, który postanowił złapać pewną rzadką odmianę muchy, nazwijmy ją — *Cynpholia puptica.*

Znakomity uczony machał zawzięcie siatką i wypatrywał uzbrojone w okulary oczy nie widząc, że owa mucha.. usiadła mu na jego profesorskim nosie......

W podobny sposób sprawa miała się pomiękąd i z rudą żelazną. Prześwietna Geologia wysyłała naukowe ekspedycje rozpoznawcze, kopała i wierciła wnętrze macierzystego globu, — a ruda żelazna leżała sobie spokojnie na powierzchni ziemi i chłopi budowali z niej chałupy i obory.

## UROJONA ROZMOWA Z GDAŃSKIEM.

Prasa doniosła niedawno, że Prezesowi Gdańskiej Izby Handlowej bardzo się nie podobała budowa przez Polskę Centralnego Okręgu Przemysłowego. Pan Prezes oświadczył, że minęły już te czasy, gdy Gdańsk patrzył obojętnie na gospodarcze posunięcia Polski i że teraz ma być inaczej.

Dalibyśmy bardzo wiele, gdyby w związku z tym odbyła się następująca rozmowa pomiędzy Gdańskim Prezesem a Polskim Ministrem:

P. P r e z e s. Polska gwałci umowy itd.! Minęły już! czasy itd. Gdańsk nie dopuści itd.!

P. M i n i s t e r: Niech mnie Pan itd.

**wił.**

# ABC I PROLETARJAT

Wydany ostatnio pierwszy tomik Biblioteki Społeczno - Politycznej „ABC“ p. t. *Polska bez proletariatu*“ pióra Dra Wojciecha Zaleskiego doznał koncentrycznego ataku zarówno konserwatywnej, jak i socjalistycznej prasy. Tradycyjni przeciwnicy z biegunowo - wrogich obozów tym razem podali sobie ręce, aby zgnębić niepożądanego intruza.

Jeśli idzie o prasę konserwatywną — reakcja jest zrozumiała, trudno bowiem wymagać, aby aktualizowanie problemu przebudowy społecznej — tej achillesowej pięty „sfer gospodarczych“ — miało wywołać w tych kołach entuzjazm i zachwyt. Natomiast zdenerwowanie socjalistów, wywołane tą popularną broszurką, może się stać powodem zdziwienia wielu z tych przeciętnych, szarych obywateli, którzy wierzą szczerze w socjalizm, jako rzecznika ich żywotnych interesów.

Człowiek prosty na subtelnościach się nie zna. Tymczasem w broszurze p. Zaleskiego wydrukowano kursywą, jako jedną z naczelnych tez, takie oto zdanie:

„Polska jutrzejsza zniesie niewolnictwo proletariatu, by w ten sposób pokazać narodom świata, jak rozwiązuje się zagadnienie społeczne“.

Czy słowa te nie są bliskie sercu proletariusza, czy zresztą nie można by ich z powodzeniem wypisać choćby na pierwszomajowym transparencie P. P. S.? Zdaje się, że niewątpliwie tak. Gdzież więc jest powód nagłego podrażnienia i namiętnej napaści na kogoś, kto stawia cel podobny i walczy z tym samym wrogiem?

Domyślam się jednak że nie chodzi tu wyłącznie o starcie ideowe. Chodzi raczej o *zwalczenie konkurenta*, który może się stać niebezpiecznym. Słaby to wprawdzie jeszcze konkurent: zaledwie mały kramik wobec poważnej firmy z wyrobioną klijentelą, ale ma dużo przedsiębiorczości i kto może przewidzieć, jak się potoczą wypadki... Zwłaszcza gdy istnieje obawa, że towar przezeń sprzedawany bodaj czy nie lepiej odpowiada potrzebom rynku.

Bo, mimo wszystko, robotnik polski — to *nieszczególny marksista*. Antysemityzm bynajmniej nie wywołuje w nim świętego oburzenia; z Kościołem woli żyć zgodnie, jak Bóg przykazał; ma duży sentyment do własnego skrawka ziemi, wyniesiony jeszcze z warstwy chłopskiej, od której niedawno się oderwał. I skoro mu ktoś zaproponuje przebudowę społeczną *bez żydów*, ale za to *z własnym domkiem* i warsztatem pracy, to chyba pójdzie za nim, żegnając bez żalu trzecią i wszystkie inne międzynarodówki. Program Ruchu Narodowo - Radykalnego, na który się powołuje p. Zaleski, ukazuje jakgdyby właśnie taką perspektywę ustroju społecznego.

Zasadnicze założenie socjalizmu — droga do przewrotu społecznego po przez *jaknajwiększą proletaryzację mas*, — nie jest zasadniczo popularna w świecie pracy, bo skazuje go na coraz większą biedę i upokorzenia, dopiero gdzieś bardzo daleko ukazując wizję wyzwolenia. W autorze broszury założenia to znajduje gorącego oponenta. W ostrych słowach piętnuje on zasadę najemnictwa:

„W każdej dziedzinie życia — prócz rolnictwa — naród polski staje się biednym narodem urzędniczo-proletariackim“...

„Kapitał, przedsiębierność — należy do obcych. Nam pozostaje *rola najemników*. Pracownik najemny nigdy nie żyje pełnym życiem. Sprzedawanie swych godzin pracy jest pewną udoskonaloną formą niewolnictwa“.

Nie mniej gorąco nawołuje Autor do walki ze znienawidzonym przez robotnika, obcym kapitalistą, który zabagnił polskie życie gospodarcze:

„Jaka szkoda, — woła w pewnym miejscu — że nasze fabryki nie pobankrutowały podczas kryzysu. Wówczas nie zginęłyby przecież z powierzchni ziemi ich gmachy i urządzenia — zginęłyby tylko sztucznie stworzone długi fabryk u zagranicznych kapitalistów, a więc ustałby rabunek tych kapitalistów“.

Wytrwała i uparta walka *o własne warsztaty pracy* w znaczeniu narodowym i indywidualnym — oto droga do przebudowy społecznej, jaką wskazuje broszura. Droga, zdaniem autora, bardziej celowa i krótka, niż wytknięta przez doktrynę socjalistyczną, a poza tym — co najważniejsze — biegnąca równolegle do szlaków wielkości i siły Państwa Polskiego. Nie da się zaprzeczyć, że obraz przyszłej Polski, uniezależnionej, uspołecznionej, pokrytej siecią drobnych, samodzielnych warsztatów pracy, posiadającej potężne objekty przemysłowe obsługiwane przez robotników — udziałowców, jest obrazem ponętnym i pełnym wyrazu.

Ale nakreślenie planu, choćby najbardziej porywającego, nie jest — rzecz prosta — równoznaczne z wprowadzeniem go w życie. Mieliśmy już w Polsce niejednokrotnie cudownie opracowane plany, które skończyły niesławnie swój żywot w szufladach autorów. Trudno więc oprzeć się wrażeniu, że może i tym razem sprawa została zbyt uproszczona i potraktowana zbyt optymistycznie. Niestety, zbyt wiele jest prawdy w tych oto słowach autora:

„Jeżeli płaski i głupi pochlebca, goniący za zyskiem osobistym i karierą, wyżej będzie ceniony, niż ludzie śmiało i bezinteresownie mówiący prawdę w oczy, górę w całym kraju wezmą ludzie małej duszy i głupcy lub nikczemnicy. Jeżeli wyniki wytężonej pracy narodu zagrabia obcy, wraz ze zgrają paru tysięcy uprzywilejowanych trutniów — wołania o ofiarność i pracę przyjmowane będą przez społeczeństwo wzruszeniem ramion, lub szyderczym śmiechem“.

Czy autor ma pewność, że ów „szyderczy śmiech“ nie będzie również udziałem jego własnych nawoływań o ofiarność i pracę?

Ale optymizm i wiara we własne siły — to pierwszy warunek sukcesu. Te właśnie cechy w połączeniu z naprawdę sugestywnym projektem przyszłego ustroju oraz z szeregiem trafnych i niekiedy bardzo złośliwych uwag na temat różnych anomalij polskiej rzeczywistości, nadają broszurze cechy broni ostrej i skutecznej. Można postawić wprawdzie zarzut, że koncepcja Ruchu Narodowo-Radykalnego zawiera szereg momentów utopijnych, ale, kto wie, czy nie posiada ich jeszcze więcej doktryna specjalistyczna, która mimo to potrafiła wywrzeć tak potężny wpływ na rozwój społeczeństw.

Ma więc rację prasa „frontu ludowego“, bijąc na alarm. Konkurencja może się dostać naprawdę niebezpieczną. Tymbardziej, że ten nowy „kramik“ prowadzą ludzie młodzi, energiczni i zdolni, a przede wszystkim — posiadający wiarę w siebie i w słuszność sprawy, o którą walczą.

Kto wie, czy w przyszłości nie potrafią owi pikietować nie tylko żydowskie sklepiki ze śledziami lub manufakturą, lecz i niektóre stare i pewne siebie... firmy polityczne?

**Bolesław Łukomski**

## Z wydawnictw

### BROSZURA, KTÓRA BYŁA POTRZEBNA.

Nakładem Biblioteki Polskiej ukazała się broszura p. Jerzego Życkiego pt. **„Propaganda polityczna w Polsce w świetle postulatów chwili“** Dzieła p. Życkiego posiadają w opinii publicznej ustaloną już reputację. Cechuje je rzadko spotykana s u m i e n n o ś ć w podejściu do tematu i gruntowne przepracowanie zagadnienia. Niezależnie od tego, czy się zgadzamy, czy nie z końcowymi wnioskami Autora, można być pewnym, że zostały one wyciągnięte na podstawie rzetelnego przestudiowania materiału i uważnej obserwacji życia.

Broszura p. Życkiego porusza wiecznie aktualną kwestię scentralizowania i zracjonalizowania propagandy państwowej w Polsce. Szereg postulatów Autora w tej dziedzinie jest niewątpliwie słuszny. Nie trzeba bowiem być totalistą aby zrozumieć, czem może i czem być powinna dla mas rozsądna i planowa propaganda.

Istnieją wszakże w broszurze twierdzenia, budzące pewne wątpliwości. Na str. 16 czytamy, naprz. że „należy ustalić wzajemny stosunek państwa i prasy; w związku z tym pozostaje kwestia ustawy prasowej, której zasadniczym zadaniem byłoby z a p e w n i ć o d p o w i e d n i d o b ó r l u d z i p r a c u j ą c y c h w d z i e n i k a r s t w i e“ (podkr. nasze). W tym miejscu — rzecz prosta — należałoby postawić wielki z n a k z a p y t a n i a? Wprowadzenie bowiem w życie ustawy o takich właśnie celach byłoby równoznaczne z p r z e k r e ś l e n i e m z a s a d y w o l n o ś c i p r a s y, gdyż dało by możność utrącenia każdego dziennikarza o niewygodnych poglądach politycznych. Czyżby to właśnie miał Autor na myśli?

Niezależnie od tych wątpliwości — broszura p. Jerzego Życkiego jest wartościowym wkładem do naszej ubogiej literatury propagandowej i winna być przeczytana przez każdego, pracującego czynnie na tym tak jałowym dotąd u nas ugorze.

„CZŁOWIEK, KTÓRY CHCE BYĆ CZYNNYM I TWÓRCZYM, ZDOBYĆ SIĘ MUSI NA ENTUZJAZM. BEZ TEGO STANU DUSZY WSZELKIE POCZYNANIA SĄ MAŁEJ WARTOŚCI“.

ADAM SKWARCZYŃSKI.

# Frak na gołym ciele czyli polityka motoryzacyjna

Pewien kacyk murzyński bawiąc w Londynie zauważył, że wysoko postawione osoby noszą fraki, wobec czego po powrocie do swego królestwa w Afryce rozkazał swoim dworzanom zastosować się do tego zwyczaju. Nikt nie śmiał się opierać, ale ponieważ noszenie spodni i koszuli nigdy ne było w Afryce popularne, stroje w państwe Mwamby - Mwamby były nieco — fragmentaryczne... Nikt się tem jednak nie przejmował i na uroczystościach urzędowych nieraz podkreślano z dumą fakt, iż pod względem elegancji państwo Mwamby nic nie ma do pozazdroszczenia Londynowi. W kołach patriotycznej młodzieży utarło się nawet przekonanie, że właściwie oryginał został już dawno prześcignięty. I wszyscy byli zupełnie zadowoleni.

Nasz stosunek do motoryzacji przypomina pod wieloma względami stosunek króla Mwamby do strojów wieczorowych. Nie rozumiemy dotąd, iż nie ma tu miejsca na żadne połowiczne rozwiązania, na zadawalnianie się pewnymi pozorami i szczegółami, które tylko zlekka przypominają zachodni oryginał — czyli *prawdziwą motoryzację*.

Rzecz prosta — można odpowiedzieć utartym tłumaczeniem, że mamy fatalny spadek po zaborcach, że brak nam pieniędzy itp. Na te wszystkie stereotypowe frazesy może być tylko jedna odpowiedź — kłamstwo.

Przed wszystkim więc — w dziedzinie motoryzacji spadku po zaborcach nie mieliśmy żadnego. Po drugie zaś — ponieważ inne kraje przed wojną były pod tym względem również w powijakach, więc bynajmniej nie miały one nad nami aż tak druzgocącej przewagi. Za te pieniądze, które zostały przez nas niewłaściwie na cele związane z motoryzacją wydane od czasu odzyskania Niepodległości, moglibyśmy już mieć kwitnący, choć może jeszcze niezbyt wielki przemysł samochodowy.

Jak wiadomo — istnieją dwie kategorie utrudnień stojących na przeszkodzie motoryzacji: utrudnienia o charakterze fiskalnym, które polegają na różnych obciążeniach ruchu samochodowego, lecz przynajmniej wyrażają się pewnym wpływem do kas skarbowych, i utrudnienia o charakterze conajmniej nierozsądnym, które stoją na przeszkodzie motoryzacji a nikomu nie dają najmniejszej realnej korzyści.

Weźmy taki przykład: istnieje przepis nakazujący używanie specjalnych samochodów ciężarowych do przewozu całego szeregu towarów — np. lodu, mleka, żywności itd. Samochód taki powinien być zarejestrowany jako przeznaczony wyłącznie do przewozu jednego tylko towaru i nawet pomalowany na odpowiedni kolor. Rozporządzenie to wywołane było słuszną troską o zachowanie hygieny publicznej. Jednak postawmy się w położeniu właściciela majątku ziemskiego w okolicy wielkiego miasta. Potrzebuje on ciężarówki, którą by mógł wozić do miasta mleko, warzywa i t. d. oraz przywozić rozmaite towary zakupione w mieście. Tymczasem chcąc to zrobić, nieszczęśliwy ziemianin musiałby zakupić około pół tuzina samochodów ciężarowych, każdy dla innego towaru. Wobec takiej sytuacji, nie kupuje żadnego i wszystko wozi furmankami, niszcząc drogi i pracując w warunkach wcale nie bardziej higienicznych.

Przepis o specjalizacji pojazdów ciężarowych został zapożyczony z zagranicy, gdzie działa on w sposób całkiem zadawalniający. Nie spostrzeżono tylko, że stosowany jest on tam w zupełnie *innych warunkach* i w inny sposób. U nas — jest to typowy frak włożony na gołą skórę.

Nasza policja jest naprawdę bardzo sumienna i stosuje istniejące przepisy ściśle, co można poczytać jej tylko za zasługę. Lecz cóż może być przykrzejszego niż milczące zakłopotanie policjanta, który stosuje przepis bo taki otrzymał rozkaz, choć sam wie doskonale, że przepis jest nieżyciowy i że stanowi właściwie bezcelową szykanę, której jest on mimowolnym wykonawcą.

Właściciele samochodów narażeni są na każdym kroku na utrudnienia i przykrości. Czyż potrzeba lepszego przykładu jak fakt natychmiastowego wyjazdu z Polski turysty zagranicznego dr. Axel z Francji, który był przez policję legitymowany prawie w każdym miasteczku przez które przejeżdżał, a więc kilkanaście razy dziennie. Wydawało się biedakowi, że jest pod specjalnym nadzorem policyjnym lub podejrzany o szpiegostwo, a tymczasem chodziło tu o zwykłą, codzienną formalność, którą automobiliści polscy znoszą z uśmiechem, przyzwyczajeni do znacznie gorszych rzeczy.

Tymczasem pojazdy konne cieszą się zupełną bezkarnością. Tak zwane bałaguły, — wozy ładowne ciągnięte przez wychudzone chabety, mogą krążyć po drogach swobodnie i przewozić towary nie podlegając żadnym ograniczeniom. Żydowscy przedsiębiorcy znęcają się nad końmi bez litości, każąc im ciągnąć ładunki wielokrotnie przekraczające ich siły, co jednocześnie powoduje podwójne niszczenie jezdni przez podkowy, bowiem koń ciągnąc zbyt wielki ładunek opiera się na krawędzi kopyta i co chwila szarpie się rozpaczliwie, wybijając dziury w asfalcie podwarszawskej szosy. Woźnica w chałacie ma na polskiej drodze wszystkie prawa bez żadnych obowiązków Nasze pokazowe asfaltowe szosy, po których wloką się ciężko ładowne konne „frachty" — to także przykład wystrojenia się we frak osobnika, który nie ma ani koszuli, ani innych szczegółów garderoby męskiej.

Przejdźmy teraz na inny odcinek frontu motoryzacyjnego. Każdy bez wyjątku fachowiec przyzna, że koniecznym warunkiem motoryzacji jest oparcie się na kilku typach wozów i przejście na ich wyłączną produkcję. Nie będę teraz wchodzić w to, jaki typ jest najlepszy — gdyby bowiem nawet wybrano najgorszy, to i tak sytuacja byłaby jeszcze lepsza niż teraz, gdy nie wybrano definitywnie żadnego.

Cieszymy się wzrastającą ilością nowoczesnych samochodów na ulicach Warszawy, ale nie zapominajmy, że w razie jeżeli typami produkcji polskiej mają być np.Fiat 508 i Chevrolet, to każdy Opel, DKW, Skoda, Ford, Steyr albo Morris sprzedany na rynku polskim *oddala chwilę osiągnięcia prawdziwej motoryzacji* i powiększa ceny naprawdę polskich samochodów, zmniejszając ich możliwości produkcyjne. A każdy Packard, Mercedes, Buick albo Triumph — to już naprawdę order przypięty do klapy tego fraka, z pod którego wygląda nasza nędza motoryzacyjna.

*Tadeusz Lutosławski*

# Ze świata

## Uczmy się Japonii

Chociaż zima objęła już w lodowe okowy znaczne połacie półkuli północnej — na Dalekim Wschodzie wciąż jeszcze grają armaty, a najbardziej niekorzystne warunki atmosferyczne nie są w stanie przeszkodzić pochodowi armii Wielkiego Nipponu.

Społeczeństwo polskie, aczkolwiek posiada dużo sympatii do narodu japońskiego, w gruncie rzeczy wie o Japonii niezbyt wiele. Dlatego też warto jest przenieść się myślą do tego dalekiego kraju, którego bliższe poznanie dostarcza tyle powodów do głębszych refleksji. Warto jest poza tym „uczyć się Japonii" nie tylko z komunikatów wojennych, ale warto jest przede wszystkim poznać bliżej duszę tego narodu, krajobraz, wśród którego on żyje, jego codzienne życie, wierzenia i obyczaje. Odbądźmy więc krótką „jesienną" wędrówkę po Japonii, pamiętając, że jesień w tym kraju — to pora roku wyjątkowo piękna i ciekawa. W Japonii istnieje nawet klasyczne określenie „nippon-bare" (dosłownie „japońskie wypogodzenie się"), które z powodzeniem może rywalizować z pojęciem „polskiej jesieni".

Chociaż żywszy i rozmaitszy niż w Polsce, krajobraz japońskiej jesieni również owiany jest melancholią, której cechy nadaje mu mgła — ta mgła, która jest prawie nieodzownym motywem malarstwa japońskiego. Jednakże mgła ta — zwana dźwięcznie „kiri" lub „kasumi" — zazwyczaj nie ogarnia świata nieprzeniknionym tumanem, wszystko w sobie chłonącym, jak noc. Gdy staniemy na wzgórzu, lub nad brzegiem morza czy górskiego jeziora, lekkie obłoczki mgły — opadające z nieba, albo się wzbijające z ziemi — ustawicznie zmieniają nam widok, to odsłaniając naszym oczom odległe góry, lub zatoki, to znów zakrywając bliskie nawet przedmioty; teraz jesteśmy w pełnym dziennym blasku, za chwilę zaś jakiś Tengu, czy inny japoński chochlik pogrąża nas na mgnienie w wieczorny półmrok.

Każdy kto słyszał o Japonii, słyszał pewnie zarazem o kwiecie wiśni. Mało jednak kto wie o czerwonych liściach klonu „momidzi", które jesienią stanowią dla Japończyków podobne źródło estetycznej rozkoszy i poetycznych uniesień, jak wiosną kwitnące biało i różowo wiśnie lub amarantowe i szkarłatne azalie. Całe zbocza gór i rozsiane w dolinach gaje pokrywają się żywą czerwienią „momidzi", które wraz z ciemno-zielonymi połaciami sosny nadzwyczaj efektownie odbijają od żółtawego tła zwykłych drzew i zarośli. Piękno klonowego listowia ślicznie ujął poeta w sławnym wierszu, który zna każde japońskie dziecko:

„Tym razem nie przynoszę ofiary (do gontyny); niechaj bogowie raczą wziąć sobie dowoli z klonowego brokatu góry Tamuke-yama".

Jak w górach i lasach włada urok barwnej klonowej szaty, tak przy ludzkich siedzibach panuje złocień, (czyli z grecka chyzantem) — po japońsku zwany „kiku", Wiadomo, że to kwiat królewski, ba, cesarski nawet, bo jego stylizowanym wizerunkiem pieczętuje się sam mikado, „syn nieba", władca Wielkiej Japonii. To też w połowie listopada wydaje cesarz specjalną „garden-party" w swych rozległych ogrodach, gdzie zapraszani bywają wybitni poddani, oraz zagraniczni przedstawiciele. (Gdybym tutaj dodał wzorem Mickiewicza: „I ja tam byłem, miód i wino piłem..." minąłbym się poniekąd z prawdą, bo zamiast sarmackiego miodu podają w Japonii ryżowy napój „sake").

Jest to piękny widok, gdy po krętych ścieżkach snują się wielobarwne węże widzów, a co strzelenie z łuku wznosi się nieduży lekki pawilon wypełniony kwiatami złocieni, gdzie rozmaitość i subtelność barw idzie w za-

wody z wielorakością postaci. Chlubę ogrodnictwa dworskiego (no i podziw gości!) stanowią okazy, które z jednej łodygi czarodziejskim iście sposobem wywodzą po 200 i 300 dużych kwiatów.

* * *

Japonia jest nie tylko krainą pięknej przyrody, ale i wielce ciekawych obyczajów. Z pośród tych, które na jesień przypadają, należy przede wszystkim wspomnieć o „tsukimi“, czyli święcie księżyca. Obchodzone jest ono w pierwszą pełnię wrześniową, albowiem, jak mówi poeta: „księżyc ukazuje się co miesiąc, ale żaden nie dorówna księżycowi tego właśnie wieczoru“. Poetyczny zwyczaj „tsukimi“ zanika w dużych miastach, ale gdzieindziej dobrze się jeszcze utrzymuje.

Na werandach wznoszony bywa ołtarzyk, zastawiony ofiarami w postaci owoców i parzyn i oczywiście rytualnych ryżowych placków. Kiedy zaś ukazuje się oczekiwany księżyc, niby kulisty japoński lampion, cała rodzina zasiada wokół ołtarzyka, podziwiając piękno zjawiska w rozmowie lub niemej kotemplacji. Poeci — czy prawdziwi, czy domorośli—próbują swych sił w układaniu krótkich nastrojowych wierszyków „haiku“ w tym np. rodzaju:

„Mikadzuki no
koro yori maci si
ko yohi kana!“

(„Od czasu gdy księżyc był 3-dniowym sierpem, jakże czekałem tego wieczoru!“)

albo też:

—„Umi-nami ni
kudakuru tama wa
sora no tsuki“

(„Klejnoty, co po morskiej fali migocą, to jeno odbicie księżyca.“)

We wspomnieniach piszącego te słowa ten ostatni utwór został nierozłącznie związany ze wspomnieniem własnego „tsukimi“, spędzonego w malowniczej, a zacisznej miejscowości Hayama. W istocie—cudnym i uroczym był wówczas księżyc! Srebrzysta jego tarcza wybłysnęła z poza stoku zielonej góry niby starodawne metalowe zwierciadło z sintojskiej świątyni, zalewając matowym światłem cichą, ukrytą w drzewach wioskę, wąski, a grzebieniasty przylądek Ciiodziagasaki i ciemną dal oceanu Spokojnego. Wkrótce księżyc wzniósł się nad urwiste wybrzeże i przesunął nad morze, wywołując cudowny efekt, tak zwięźle a trafnie oddany pędzlem( bo nie piórem!) cytowanego powyżej poety.

* * *

Nie należy jednak sądzić, że mieszkańcy Japonii nie mają w jesieni innych prac jak hodowanie złocieni, innych wzruszeń jak podziwianie pełni księżyca, ani też innych zmartwień jak żal za opadłymi liśćmi klonu. Są oni narodem bodaj najbardziej miłującym przyrodę, ale ta właśnie władczym jakże srogą bywa dla nich panią! Oto właśnie w samej stolicy kraju jesień rozpoczyna się żałobnym obchodem rocznicy pamiętnej strasznej katastrofy — trzęsienia ziemi dnia 1 września 1923 r. Tragiczne to wydarzenie, w którym pożar zniszczył ogromne połacie Tokio, a ludzi zginęły dziesiątki tysięcy, uwydatniło w całej pełni inne wielkie cechy japońskiego charakteru narodowego.

Nie chcę mącić pogody tego szkicu opisem tamtych dni, chociaż w nich zajaśniały niezliczone przykłady opanowania i poświęcenia według najlepszych wzorów „drogi samuraja“. Warto podkreślić natomiast rozmach dzieła odbudowy, dzięki któremu Tokio w ciągu kilku lat zdołało powstać z popiołów niby legendarny feniks, i to w znacznie świetniejszej postaci. Na miejscu starodawnych zaułków i skromnych chatek widnieją dzisiaj nowoczesne gmachy, wznoszące się wzdłuż szerokich, z rozmachem wielkomiejskim wytyczonych ulic. Pomyślano też o zdrowotności, tworząc parki i boiska. Wzniesiono budynki użyteczności publicznej, a rzeki Kanda i Sumida płyną pod nowymi mostami. Ulepszono ogromnie komunikację, budując nawet pokaźną linię kolei podziemnej. Tak wielkie dzieło po tak niebywałej katastrofie było możliwe tylko dzięki mrówczej pracy, wierze w przyszłość i niebywałej regeneracyjnej zdolności rasy japońskiej.

W dzielnicy Kameido, w miejscu gdzie od rozszalałych płomieni zginęł wiele, wiele tysięcy ludzi — wznosi się „Sinsai Kinendo“ — pamiątkowa świątynia, która niby cymbol odbydowy miasta postawiona jest na szczątkach ofiar ognia. W dniu 1 września przepływają tędy tłumy nieprzebrane. Przepływają w ciszy i skupieniu, tylko dymem kadzideł według buddyjskiego zwyczaju składając hołd pamięci bliskich swych i bliźnich, którzy się wtenczas „pominęli“.

Skoro była mowa o świątyni, nie można pominąć pewnego obrazu, bardzo znamiennego dla religijnego życia ludu japońskiego. Jest nim obchodzone w Tokio 12 października święto sekty wyznawców buddyjskiego apostoła Niciren'a. Do świątyni Hommon-dzi na przedmieściu Omori przybywają ogromne gromady pielgrzymów, dochodzące w sumie do 600.000. Policja tokijska ma z okazji tego „odpustu“ nielada kalwaryjski problem do rozwiązania, gdyż chodzi nie tylko o regulowanie ruchu, ale również o wkraczanie w razie kradzieży, nieszczęśliwych wypadków, zgubienia dzieci przez rodziców i t. p.

Pielgrzymki zorganizowane są systemem „terytorialnym“ w procesje, których przywódcy niosą sześcienne białe papierowe latarnie, zwane „mando“. Reszta wiernych podąża karnie za prowodyrem, a wszyscy zaopatrzeni są w jakieś znaki rozpoznawcze, np. w postaci kolorowych chustek na głowach lub szyjach, chorągiewek i t. p., co ułatwia odnalezienie się w tłoku. Idą bijąc rytmicznie w płaskie bębenki i wyśpiewując monotonnie święte hasło swej sekty: „Namu-myoo-hoo-renge-kyoo“, czyli „Bądź pozdrowione święte prawo księgi lotosu“.

Z tłumnego udziału ludności w święcie Niciren'a nie należy bynajmniej wyciągać wniosku o szczególnej religijności ludu japońskiego. Obrządki religijne traktuje się tutaj raczej obyczajowo niż dogmatycznie, a tłumny udział w różnych świętach zrozumiały jest w kraju, gdzie nie istnieje odpoczynek niedzielny. Do niedawna w Japonii nie istniało w ogóle pojęcie tygodnia, dlatego widocznie iż nie było o nim wzmianki w japońskim opisie stworzenia świata. To też chociaż obecnie urzędy nie funkcjonują w niedzielę, życie gospodarcze ani na chwilę nie ustaje ani w mieście, ani na wsi.

Chłop japoński jest ogromnie pracowity, choćby dla tego, że główny płód jego roli t. j. ryż, wymaga ogromnej roboty, znacznie przykrzejszej niż uprawa każdego innego zboża. Siać go trzeba w błoto, potem przesadzać w wodę, a nawet jesienne żniwa odbywają się w podobnych warunkach, jak u nas zbiór siana na mokrych łąkach. Jednakże Japończyk za żadne skarby nie wyrzeknie się „ryżu swojego powszedniego“, który zastępuje mu nasz chleb i ziemniaki.

Koniec ryżowych żniw nie tylko jest przedmiotem różnych „dożynkowych“ zwyczajów u ludu, ale znajduje wyraz i na dworze cesarskim jako t. zw. „Kanname-Sai“ czyli „Pożniwne dziękczynienie“. W dniu 17 października cesarz w swym charakterze potomka bogini słońca odprawia tradycyjne sintojskie obrzędy w pałacowym sanktuarium „Kasiko - dokoro“, dziękując bogom opiekuńczym narodu za urodzaj, a specjalny jego posłaniec zanosi ofiarę nowego ziarna aż do dalekich gontyn w Ise, poświęconych boskim przodkom cesarskiego rodu.

* * *

W zaimprowizowanej przez nas wędrówce po Japonii, w podziwianiu uroków przyrody i obyczaju japońskiego, nie należy jednak zapominać, że równolegle z opisaną poetyczną Japonią istnieje jeszcze jakby inne jej wcielenie — Japonia nowoczesna, „Cesarstwo Wielkiej Japonii“, którego przebłysk ujrzeliśmy w imponującej odbudowie miasta Tokio. Bo Nippon, to kraj wielkich przeciwieństw i wielkich możliwości.

Obok umiłowania przyrody i serca czułego na wszelkie przejawy jej piękna, wytworzyła się obojętność, męstwo i nieustępliwość wobec okrutnych ciosów żywiołu. Obok prymitywnej uprawy roli istnieje potężny nowoczesny przemysł, który włada wieloma rynkami świata. Nabożni staroświeccy pielgrzymi mogą każdej chwili zamienić bębenki i chorągiewki na nowoczesną broń i stać się świetnymi żołnierzami, którym zarówno instynkt rasowy jak i wiara nakazuje pogardę śmierci. Utrzymanie prastarych arcykapłańskich kompetencji monarchy bynajmniej nie przeszkadza Japonii w prowadzeniu mocarstwowej polityki i ekspansji, wstrząsającej znaczną połacią globu ziemskiego. Należy pamiętać wszakże, że właśnie na duchu dnia wczorajszego dziejów Japonii oparte jest potężne dzieło dzisiejsze.

**Antoni Ślósarczyk.**

# Z muzyki

## Młode siły — poważny repertuar

*Epoka, w której obecnie żyjemy, nie stanowi specjalnie podatnej gleby dla zainteresowań ogółu prawdziwą Sztuką. Jednostki utalentowane, spotykane w każdej dziedzinie życia artystycznego, dość często po kilku próbach lansowania w masy dzieł naprawdę wartościowych, zniechęcając się brakiem zainteresowania ich wysiłkami szerszych rzesz publiczności, tych „odbiorców“ produkowanych przez artystów wartości estetycznych. Ten smutny stan rzeczy szczególnie wyraźnie można zaobserwować w świecie muzyki i śpiewu.*

*W takich warunkach młode pokolenie artystów ma oczywiście do pokonania wielkie trudności, ale ma również i szerokie pole do pracy. Nie zniechęcając się pierwszymi, czasem może nieudanymi próbami, nie schlebiając tandentym gustom publiczności, młodzi śpiewacy powinni przez umiejętnie dobrany repertuar przekonać publiczność o wyższości muzyki wielkich kompozytorów nad przebojami jazzbandowymi. Próby takie ostatnio istotnie miały miejsce.*

***W jednej z audycyj Polskiego Radia w grudniu r. ub. usłyszeliśmy przed mikrofonem p. Barbarę Malinowską**, jak się zdaje jedną z takich śpiewaczek najmłodszego pokolenia, które rozumieją znaczenie wartościowej pieśni. Pierwszy raz spotkaliśmy się z osobą, a właściwie z głosem **p. Barbary Malinowskiej** ale jej program, zawierający kompozycje Schuberta, Brahmsa, Saint-Saens'a, Galla, Martiniego i Raspighi'ego świadczy, że zainteresowania młodej artystki są poważne.*

*Artysce, której program wywołał u nas te refleksje i wzbudził zaufanie do **młodego pokolenia śpiewaków**, należy życzyć dalszych sukcesów, a **Dyrekcji Polskiego Radia** należy się całkowite uznanie za odkrycie nowego, cennego talentu.*

*M.*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Królewska 49 m. 34, tel. 3-37-95. PRENUMERATA: rocznie 3 zł, półrocznie 1,50 zł.
Konto PKO. 4.425. — Administracja czynna we wtorki i czwartki od godz 17 do 18.
Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: *Tadeusz Skonieczny*. . .

**Sal. Szkoła Rzem., Dział Grafiki, Warszawa, Ks. Siemca 6, Tel. 5-37-72.**